

Przewyciężyć obcość u samych podstaw ludzkiej kondycji – Nasze nie nasze Jana Józefa Szczepańskiego

Niewielki tom *Nasze nie nasze*, który jest plonem z podróży Jana Józefa Szczepańskiego do Grecji w 1975 roku i do Meksyku w 1981 roku, z wielu względów zasługuje na szczególną uwagę. Przede wszystkim to ostatnia książka pisarza, którą w całości poświęcił on podróżniczym doświadczeniom, mimo że nie były to ostatnie wyjazdy w jego życiu¹. Już choćby z tego względu chciałoby się pomiędzy okładkami tego tomu poszukiwać syntez i podsumowań, a na refleksje tu zawarte spojrzeć jak na *summę* podróżniczą pisarza, co jest nie tylko kuszące, lecz także – co będę się starała pokazać – uzasadnione. Zastanawiający jest też fakt na pozór przypadkowego i trudnego do wyjaśnienia zestawienia Meksyku i Grecji, uczynienie przedmiotem refleksji regionów odległych od siebie zarówno geograficznie, jak i kulturowo. Wybór ten zadziwia tym bardziej, że wszystkie publikowane wcześniej reportaże pisarza były podporządkowane dość surowym rygorom kompozycyjnym, gdzie jednej podróży odpowiadał jeden tom, a kolejne etapy wyprawy znajdowały odzwierciedlenie w linearnej uporządkowanej narracji. W twórczości podróżniczej Szczepańskiego jest to więc kompozycja niezwykła, wymagająca bliższego omówienia.

Nasze nie nasze to pierwszy reportaż, w którym pisarz próbuje zdefiniować, czym jest (lub czym się staje) współczesna turystyka, dostrzegając, jak ogromny wpływ ma ona na charakter masowo odwiedzanych regionów świata. Szczepański wprost mówi więc o zmianach, które zachodzą we współczesnym mu świecie. Używa pojęć takich jak „eksploatacja turystyczna”, „turystyczny przemysł” czy wreszcie „doskonałość złudzenia” i „jakość iluzji”. Służą mu one za komentarze do widowisk organizowanych przez „wyspecjalizowane przedsiębiorstwa” na użytek zorganizowanej turystyki. Ciekawą kwestią, która również stanowi *novum* w tym niewielkim tomiku, jest powiązanie z zagadnieniem przeobrażającej się turystyki i poruszany wielokrotnie przez pisarza temat fotografii oraz

¹ Wcześniej pisarz podróżował m.in. do Stanów Zjednoczonych (trzymiesięczny pobyt stypendialny na Uniwersytecie Harvarda od lipca do września 1958 roku). Od czerwca do września 1959 roku był uczestnikiem wyprawy badawczej na Spitsbergenie, dwa lata później popłynął do Zatoki Perskiej i Indii, a na przełomie 1963/64 roku do Afryki Wschodniej i Południowej. W 1967 roku podróżował po Ameryce Południowej, a w roku 1970 ponownie odwiedził Azję (Taszkient, Samarkanda, Ałma-Ata). Na przełomie 1968/69 roku jako uczestnik Międzynarodowego Programu Pisarzy spędził dziewięć miesięcy w Iowa City. Po powrocie z każdej z podróży powstawał tom reportażu (poza pierwszą wyprawą do USA oraz do Azji w 1970 roku). Były to książki: *Zatoka Białych Niedźwiedzi* (Spitsbergen), *Do rajy i z powrotem* (Zatoka Perska), *Czarne i białe* (Afryka), *Świat wielu czasów* (Ameryka Południowa), *Koniec westernu* (USA).

spojrzenia turysty. Zdaniem badaczy zajmujących się tym zagadnieniem właśnie oko kamery czy obiektyw aparatu fotograficznego wycelowane w Innego mogą być narzędziem zawłaszczania i instrumentem retorycznego opanowywania świata². Do tego tematu powrócę nieco później, warto jednak już teraz podkreślić to, że prawie wszystkie publikowane wcześniej reportaże pisarza zostały zilustrowane wykonanymi przez niego fotografiami³. Niemal połowę tomu *Nasze nie nasze* zajmują zdjęcia z Grecji i Meksyku; można na nich zobaczyć świątynię Nike czy Partenon na Akropolu, Piramidę Słońca w Teotihuacán i Meksykanki uchwycone w kadrze gdzieś na ulicy Mexico City. Jednak – i jest to sytuacja niezwykła w reportażach Szczepańskiego – nie jest on autorem żadnego ze zdjęć, choć wiadomo że przynajmniej w czasie pobytu w Grecji miał przy sobie aparat [„Owa bardzo czarna murzynka, która przybyła tu może z Nowego Jorku, a może z Buenos Aires (...) jest częścią alegorii. W uśmiechu, jakim wita mój, wycelowany w nią obiektyw, znajduję niemal świadomość tego faktu”⁴]. Rezygnacja z opatrywania tomu własnymi fotografiami, a jednocześnie wyraźne powiązanie rytuału uwieczniania egzotycznych pejzaży i zabytków z negatywnie waloryzowaną przez pisarza masową turystyką, każe dostrzec w tym geście decyzję świadomą i przemyślaną, co również będę starała się pokazać.

Lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte to czas wielu podróży Szczepańskiego, a z powstałych w ich efekcie zapisków można wyczytać przekonanie autora o nieuchronnej konieczności integracji świata, zmierzania wszystkich jego regionów w stronę syntezy kultur i globalnej jedności. Wówczas autor jeszcze optymistycznie wierzył w szansę realizacji takiego przedsięwzięcia, podejmując refleksję nad możliwymi kształtami, jakie w dobie nieuchronnego postępu cywilizacji technologicznej przybrać może rzeczywistość krajów odległych od siebie geograficznie, kulturowo i duchowo. I choć wówczas jeszcze były to zagadnienia poruszane przy okazji innych rozważań i na ich marginesie, to jednak dość wyraźnie pisarz wypowiadał swoje przeświadczenie o konieczności włączenia wszystkich narodów globu w zapoczątkowany w „Pierwszym Świecie” cywilizacyjny pochód. Zresztą takie – nieco przedwcześnie wypowiedziane – nadzieje okazały się złudne i naiwne, o czym sam autor przekonał się dość szybko, dając temu wyraz we wstępie do wydanego w 1981 roku tomu *Trzy podróże*:

„To, co mogło się wydawać radykalnym przełomem, okazuje się z perspektywy czasu jedynie etapem na długiej drodze, której kierunek wcale nie jest oczywisty i która nie musi prowadzić do żadnych ostatecznych rozwiązań w skali globu”⁵.

W opublikowanym w 1983 roku zbiorze reportaży *Nasze nie nasze* potwierdzają się wszystkie intuicje pisarza zamieszczone w cytowanym wstępie. Kulturowy uniformizm jest nie tylko niemożliwy, lecz także niebezpieczny, bo niesie zagładę twórczym wartościom

² Pisze o tym między innymi Anna Wietczorkiewicz, zob. eadem, *Apetyt turysty. O doświadczaniu świata w podróży*, Kraków 2012, s. 177.

³ Nie dotyczy to jedynie *Końca westernu*, który jest relacją raczej z pobytu badawczego niż z podróży.

⁴ J.J. Szczepański, *Nasze nie nasze*, Kraków 1983, s. 20. Dalej cytuję z tego wydania, stosując skrót NNN i numer strony.

⁵ Zob. idem, *Od autora* [w:] idem, *Trzy podróże*, Kraków 1981, s. 5.

poszczególnych kultur. Powołując się na szkic Leszka Kołakowskiego *Szukanie barbarzyńcy. Złudzenia uniwersalizmu kulturowego*, Szczepański pisze o ryzyku konstruowania na użytek „hipotetycznej, zjednoczonej ludzkości” (NNN, s. 9) synkretycznych tradycji, które mogą doprowadzić do całkowitego przekształcenia oblicza współczesnego świata: „jeśli różnice dzielące (...) ludzi mają ulec unieważnieniu w imię wspólnego, jednolitego dziedzictwa, to (...) »nasz« świat będzie już tylko jednym wielkim muzeum – jednym obiektem masowej turystyki” (NNN, s. 8).

○ ile więc w tomach wcześniejszych konieczność przewyższania obcości była *explicite* wyrażana przez pisarza, o tyle w ostatniej książce z podróży cały proces „oswajania” (lub „przyswajania”) zostaje obwarowany dodatkowymi zastrzeżeniami, zmieniony zostaje nieco jego kierunek, charakter i sens. Na przeciwnym biegunie obcości Szczepański nie sytuuje już bowiem konieczności integracji i nieuchronnego zmierzania świata ku globalnej jedności, ale imperatyw „przewyższania obcości u samych podstaw ludzkiej kondycji” (NNN, s. 9), a prawdziwym i godnym utrwalania w świadomości współczesnego człowieka czyni pisarz fakt istnienia „elementów wspólnoty we wszystkim, co swoje i obce, w tym, co »nasze« i »nie nasze«” (NNN, s. 9). Szczepański przeciwstawia się też jednocześnie bezrefleksyjnemu zacieraniu i niwelowaniu różnic przez pasywną poznańczo i intelektualnie turystykę, która jest jedynym wspólnym mianownikiem odległych od siebie kultur. Jedynym – ale niewiele wartym, skoro dla współczesnego turysty tak samo błahym i nic nieznaczącym obiektem godnym utrwalenia na pamiątkowym zdjęciu są zabytki Grecji, co i ruiny azteckich miast. Pisarz wielokrotnie podkreśla więc konieczność przewyższania obcości w inny – intelektualny i empatyczny – sposób, czemu towarzyszyć musi głęboki namysł. Potrzeba do tego nie tylko „koniecznego zasobu wiadomości, lecz także i pewnego wysiłku woli” (NNN, s. 70). To właśnie zdobycie się na taki wysiłek jest proponowaną przez Szczepańskiego alternatywną drogą, która wiedzie do zrozumienia Innego i zostaje przeciwstawiona zarówno globalizacji (niwelującej twórczy potencjał różnic kulturowych), jak i strywalizowanej eksploatacji turystycznej.

Szczepański sam właśnie taką drogę obiera, czemu najdobitniej daje wyraz w reportażu z podróży do Meksyku, gdy próbuje zrozumieć, na czym polegała istota azteckich krwawych praktyk religijnych i co oznaczało dla tej unicestwionej kultury składanie bogom ludzkich ofiar. Pisze więc o przeświadczeniu Azteków, że boska machina świata zatrzyma się, jeśli przestanie zasilać ją ludzka krew, wspomina o micie, który przez wieki realnie kształtował losy ludzkich pokoleń. Rytuały, w których kapłan wyrwał serce ofiary i palił je przed kamiennym obliczem bóstwa, postrzega Szczepański nie jako bezzasadne w swym okrucieństwie działania, lecz jako najistotniejszą zasadę azteckiej kosmogonii, która miała głęboki związek ze wszystkimi sferami codziennego życia. Warto zauważyć, że takie zrozumienie dla azteckich obyczajów nie było jedynie plonem podróży do Meksyku. Temat ten Szczepański poruszał już dwadzieścia lat wcześniej w opublikowanym na łamach „Tygodnika Powszechnego” artykule *Smutek etnografa*, będącym recenzją świeżo wydanej w polskim przekładzie książki Lévi-Straussa *Smutek tropików*. Pozostając

niezaprzeczalnie pod ogromnym wrażeniem lektury dzieła francuskiego antropologa, Szczepański czyni mu jeden tylko zarzut. Píše:

„Lévi-Strauss, choć tak dotkliwie świadom win własnej cywilizacji, zdaje się nie dostrzegać (...) bardzo przecież istotnej różnicy, która sprawia, że azteckie hekatombry są tylko okrucieństwem, podczas gdy masakry dokonywane przez konkwistadorów i ich następców należą do kategorii zbrodni”⁶.

Już wcześniej pisarz był więc niechętny redukowaniu i spłycaaniu sensów rytuałów, które – choć mogły się wydawać nieludzkie – były głęboko zakorzenione i umocowane w systemie religijnym Azteków. I to nie konieczność przerwania tego okrucieństwa stała się przyczyną zgładzenia cywilizacji Mezoameryki przez Hiszpanów, ale – jak stara się pokazać Szczepański – niemożność zrozumienia niezrozumiałego i poddania go krytycznemu namysłowi.

To zauważone przez autora *Świata wielu czasów* poczucie absolutnej, nieredukowalnej obcości – jak ciekawie pokazuje to Mary Louise Pratt – nie tylko było przyrodzoną wadą hiszpańskich konkwistadorów, lecz także wpisało się na stałe do repertuaru tekstów z podróży, które przez lata powstawały z europejskiego, imperialistycznego punktu widzenia. I tak na przykład u Alexandra von Humboldta wspomniana badaczka dostrzega bezlitosną dyskredytację osiągnięć azteckich, które autor ten porównywał z klasyczną kulturą basenu Morza Śródziemnego: „Podczas gdy w Grecji »to głównie religie wspierały sztuki piękne«, u Azteków prymitywny kult śmierci przyczynił się do powstania zabytków, które służyły jedynie »sianiu postrachu i przerażenia«”⁷. Zupełnie inaczej niż Humboldt rozumie to Szczepański:

„(...) jedynie dusze poległych w boju wojowników oraz zabitych na ołtarzach ofiar dostępowaly nieśmiertelności. Wędrowaly ku słońcu, a potem powracały na ziemię w postaci kolibrów.

Hiszpańscy najeźdźcy nie dostrzegali ani cienia poezji w tym systemie pojęć i służącym mu procederze. Widzieli tylko barbarzyńskie okrucieństwo oraz pogańskie praktyki diabelskiej, niezawodnie, proweniencji. Aztekowie, ze swej strony, nie mogli pojąć okrucieństwa Hiszpanów, którzy mordowali i niszczyli bez żadnego metafizycznego uzasadnienia, którzy, co więcej, stosowali na wielką skalę tortury dla wydobycia wiadomości o złocie, metalu jak każdy inny, przydatnym jedynie do wyrobu ceremonialnych ozdób” (NNN, 71–72).

Imperium Azteków, Majów, a także innych społeczności, które żyły w Ameryce przed przybyciem do niej Kolumba, bezlitosnie wyniszczyła więc niechęć do podjęcia wysiłku przezwyższania obcości, a miecz konkwistadora stał się jedynie substytutem intelektualnej aktywności i narzędziem destrukcji, zastępując trud refleksji fizyczną przemocą (która nawiasem mówiąc, miała źródło w zniewalającej, niemożliwej do opanowania żądzy złota). Dlatego też na cały tom *Nasze nie nasze* można spojrzeć jak na wysiłek pisarza podjęty do celu wybicia w grubym murze obcości okna zrozumienia, choć przecież nie można już odwrócić dzieła zniszczenia.

⁶ Idem, *Smutek etnografa*, „Tygodnik Powszechny” 1961, nr 3, s. 3.

⁷ M.L. Pratt, *Imperialne spojrzenie. Pisarstwo podróżnicze a transkultuacja*, tłum. E.E. Nowakowska, Kraków 2011, s. 191.

Szczepański wskazuje na jeszcze inne przyczyny, które doprowadziły do tego, że skutki zetknięcia dawnych kultur Ameryki z kulturą europejską były tak bardzo dramatyczne, a zionąca między najeźdźcami i ofiarami przepaść okazała się niemożliwa do zasypania. W Europie, która za sprawą lokalizacji geograficznej poddawana była wpływom afrykańskim, orientalnym, bizantyjskim, doszło do wzajemnego, bardzo owocnego w skutkach przenikania i twórczej wymiany myśli, nawet jeśli – jak ciekawie pokazuje to pisarz – nie zawsze uświadamianej czy akceptowanej. To dzięki możliwości przenikania różnych kultur (drogą pokojowych migracji lub inwazji) miasto Saloniki „stało się mieszańcem, bastardem Zachodu i Wschodu, antyku i barbarzyństwa” (NNN, s. 30). Zastanawiając się z kolei nad fenomenem wielowiekowego istnienia Akropolu, Szczepański pisze, że losy tych budowli potoczyły się „najszczęśliwszym z możliwych torem (...). Opuszczone przez starożytnych bogów, gościły w swoich murach bizantyjską bazylikę i meczet, były turecką twierdzą i arsenałem” (NNN, s. 17). Reportaż z Meksyku w ciekawy sposób pokazuje, że podsypane kontaktami ze Wschodem herezje, które zagrażały średniowiecznemu uniwersum i wprowadzały do niego inne niż dominujący punkty widzenia, stały się dla świata chrześcijańskiego zbawienne. Nie pozwoliły mu bowiem zakrzepnąć w monolitycznej, niezmiennej i skostniałej formie, wprowadzały wielość opcji, która jest *remedium* na – jak to określa autor – „kulturową sklerozę”.

Wielkie cywilizacje Ameryki Środkowej i Południowej rozwijały się w całkowitej geograficznej izolacji, dlatego też w momencie spotkania z najeźdźcami z Europy nie mogło być mowy o przenikaniu czy współistnieniu. Pisarz pokazuje kultury Mezoameryki, które funkcjonując w zamkniętym obiegu myśli i doświadczeń, nie dostały szansy takiej jak na przykład Indie. Te ostatnie, mimo kolonialnego podboju i wieloletniej brytyjskiej dominacji, zdołały ocalić najcenniejsze cechy własnego dziedzictwa. Spotkanie z cywilizacją europejską stało się przekleństwem dla Azteków i Majów, obracając wniwecz ich wiarę w kosmiczny ład zasilany krwią ofiar. Jak pisze Szczepański, „poddanie się woli zwycięzcy równoznaczne było z wyrzeczeniem się raz na zawsze własnej kulturalnej tożsamości” (NNN, s. 84). Takie wyraźne zarysowanie opozycji między „swoją” i „nie-swoją” cywilizacją może nosić pewne znamiona uzurpacji i wieść na manowce dyskursu, w którym „my” – lepsi, bardziej dynamiczni jesteśmy przeciwstawieni „im” – gorszym, o mniejszych zdolnościach adaptacji. Pisarz zdawał się mieć świadomość, że stąpa po grząskim gruncie, zbliżając się do krawędzi europocentrycznej uzurpacji, wedle której świat dzieli się na cywilizowanych i prymitywnych, aktywnych i pasywnych. Chcąc więc uniknąć wtłoczenia w europocentryczny gorset pojęć, podrozdział poświęcony przyczynom unicestwienia azteckiej społeczności Szczepański zamyka refleksją, która rozchwiewa pojęcia takie jak „cywilizacja”, „prymitywizm”, „urbanizacja”, „kultura statyczna”. Okazuje się, że słowa te mogą być wieloznaczne, a ich sensy nie są nigdy dane raz na zawsze:

„Mexico D.F. zatraciło wszelkie racjonalne wymiary i warunki, niezbędne dla funkcjonowania ludzkich zbiorowisk. Ciągące się dziesiątkami kilometrów główne ulice zatłkane są przez większą część dnia komunikacyjnym skrzepem, przez który przepychać się można tylko siłą (...). W dni bezwietrzne dławiąca zawiesina smogu leży nad miastem (...). Trzy główne uniwersytety Meksyku

umieszczone są na dalekich peryferiach stolicy. (...) rosną wciąż nowe dzielnice – dzielnice bogaczy, zadziwiające wymyślnymi formami architektury (...) i – oczywiście – pączkujące niepowstrzymanie *barrios*.

Taka więc byłaby nowoczesna alternatywa dawnych »statycznych« kultur? (...) Można obserwować rozprzestrzenianie się owego konsumpcyjnego ideału życia, jak rosnąca na kontrastowym tle plamę kontrolnego barwika.

Dawne kultury statyczne umierały lub upadały nagle z powodu nadmiernej jednorodności, z powodu niedostatku opcji, pobudzających proces poszukiwań i wyboru. Ta sama przyczyna może być zalążkiem klęski naszej, nowoczesnej cywilizacji” (NNN, s. 88–89).

Ten rozbudowany opis pisarz kończy konkluzją, że współczesne procesy zachodzące na świecie – globalizacja i powstawanie stechnicyzowanych społeczeństw konsumpcyjnych – opierają się na tym samym fundamencie, na którym zasadzała się też jego zdaniem „statyczność” cywilizacji Mezoameryki: brak ruchu i zmiany, niezdolność do twórczych poszukiwań, niemożność dokonywania wyborów, brak warunków do duchowego rozwoju. Te same przejawy „kulturowej sklerozy” zauważa pisarz w cywilizacji uznawanej za własną. W toku narracji po raz kolejny okazuje się, że to nie jakieś szczególne predyspozycje psychiczne czy brak technologicznego rozwoju są przyczyną znikania kultur z powierzchni ziemi, a niszczące siły stagnacji mogą dotknąć również społeczeństwa określane zbiorczym i upraszczającym pojęciem „rozwinętych”.

W swoich intuicjach dotyczących przyczyn zagłady prekolumbijskich cywilizacji Szczerpański nie jest odosobniony. W podobnym duchu w *Robotnikach wezwanych o jedenastej* oraz w *Czasie siania i czasie zbierania* (pierwsza i druga część *Nowej baśni*) pisał już wcześniej Teodor Parnicki⁸, choć jego zdaniem czynnikiem decydującym okazała się nie tyle statyczność, ile nadmierny, podsycany żądzą złota pośpiech. Odległa Atlantyda/Przeciwziemia/Ameryka to kraina niemalże mityczna, przyszły raj dla wszystkich tych, którzy – ubodzy, skrzywdzeni, wydziedziczeni – są robotnikami wezwanymi do pracy jako jedni z ostatnich, przez co odmawia się im pełnoprawnego uczestnictwa we wspólnym chrześcijańskim dziedzictwie. Atlantyda mogłaby stać się dla nich miejscem szczęśliwym, gdzie żyliby w zgodzie wespół z Atlantami; gdy jednak na tę ziemię obiecaną dociera Eryk Biskupobójca, moment okazuje się niesprzyjający dla znajdującej się w stanie atrofii cywilizacji tolteckiej, niegotowej na przyjęcie innego niż własny ideału życia. Z kolei krwawej chęci podboju, którą chciałby przeforsować poszukiwacz Graala Iwen, sprzeciwiają się nowochrześcijcy, z biskupem Pawłem de Santa Maria na czele. Nie nadszedł jeszcze właściwy czas, by możliwe było pójście do Tolteków z samym tylko krzyżem i słowem, dopóki zaś istnieje szansa pokojowego kontaktu i syntezy obu kultur, przelew krwi jest wykluczony. W dalszych tomach *Nowej baśni* okazuje się jednak, że takich skrupułów i cierpliwości nie miał Cortez, który bynajmniej nie wykluczał rozwiązań siłowych i dla którego podbój nowych ziem i żądza bogactw były ważniejsze od wyczekiwania na gotowość przyścia ostatnich, wezwanych dopiero o jedenastej robotników. Jak więc pokazuje

⁸ T. Parnicki, *Nowa baśń*, cz. 1: *Robotnicy wezwani o jedenastej*, Warszawa 1972; *Nowa baśń*, cz. 2: *Czas siania i czas zbierania*, Warszawa 1963.

Parnicki, to nie nierówność kultur stała się faktyczną przyczyną całkowitego unicestwienia dawnych cywilizacji Mezoameryki, ale ich przedwczesne spotkanie z chrześcijaństwem w momencie, w którym żadna ze stron nie była na to gotowa. Jest więc Szczepański w gruncie rzeczy bliski Parnickiemu w jego, podkreślanym zresztą przez badaczy, przeświadczeniu o równości kultur „bez względu na to, kiedy zostały odkryte przez chrześcijański Zachód, bez względu na to, jak dziwne są i obce mentalności europejskiej”⁹.

Szczepański zauważa, że poczucie obcości towarzyszące przedwczesnemu spotkaniu było tak wielkie, że najeźdźcy z Europy wniwecz obrócili nie tylko całe cywilizacje, lecz także ich materialne świadectwa, nie dostrzegając w nich zapewne cienia wartości: „Mayowskie miasta Yucatanu opuszczone zostały w XV wieku. Conquista przerwała jednak ciąg lokalnej tradycji. Hiszpanie zniszczyli malowane kroniki i wyępili oświecone warstwy narodu” (NNN, s. 96). Jednym z nielicznych ocalałych świadectw jest przywoływana przez pisarza we wstępie do tomu *Nasze nie nasze* relacja anonimowego Azteka oblężeniu Meksyku. A ponieważ brakuje spisanych historii, które pomogłyby odtworzyć dawne czasy, Szczepański sam, na podstawie niewielu znanych i potwierdzonych przez historyków faktów, snuje opowieść, próbując w toku narracji wyobrazić sobie, jak wyglądały południowoamerykańskie cywilizacje przed przyptnięciem Kolumba:

„Kiedys ta przestronna, wyniesiona na wysokość ponad dwóch tysięcy metrów dolina, wypłniona dziś po brzegi stale rozrastającą się tkanką siedemnastomilionowej stolicy, była całym państwem Azteków. Właściwy ośrodek tego państwa, Tenochtitlan, siedziba królów i administracji, stał na wyspie, pośrodku rozległego, słonego jeziora. Ze stałym lądem łączyły go długie na wiele kilometrów groble, główne arterie stanowiły spławne kanały. Świeżą wodę doprowadzały z gór kamienne akwedukty. Hiszpanie zachwycili się tym bogatym, ludnym i czystym miastem, pełnym imponujących świątyń, wspaniałych pałaców i obficie zaopatrzonych targowisk (...). Nie przeszkodziło im to zburzyć je doszczętnie” (NNN, s. 68).

Obraz ten skonfrontowany jest nie tylko z miastem „rozpapranym pod burą błoną smogu” (NNN, s. 68) w kształcie, jaki przybrało ono pod koniec XX wieku. Pisząc o starożytnych Atenach w okresie ich najwspanialszego rozkwitu, Szczepański zauważa:

„Starożytne Ateny nie składały się, oczywiście, z samych portyków i świątyń. Wąskie uliczki pomiędzy ubogimi domkami z gliny cuchnęły nieczystościami, a na ścianach osiadał kopeć pochodni. W prymitywnych warsztatach pracowali niewolnicy i dzieci marły masowo z epidemii, których nie umiały poskromić zaklęcia kapłanów” (NNN, s. 22).

Autor podkreśla więc, że to nie stopień technicznego zaawansowania decyduje o możliwości przetrwania kulturowego dziedzictwa poszczególnych cywilizacji. Być może właśnie w tym przeświadczeniu najbardziej widoczna jest postkolonialna dojrzałość Szczepańskiego, który nie chce miarą wartości jakiegokolwiek społeczeństwa czynić „perfekcji urządzeń sanitarnych lub sprawności przemysłowej produkcji” (NNN, s. 22). Tym bardziej że – jak pokazywał to we wcześniejszych reportażach – technologiczny rozwój można też wykorzystać jako narzędzie eksterminacji, czego dowiodła cywilizacja Zachodu, wymyślając i rozwijając do perfekcji narzędzia masowego zabijania i komory gazowe.

⁹ T. Cieślukowska, *Pisarstwo Teodora Parnickiego*, Warszawa 1965, s. 62.

Na przeciwstawieniu unicestwionych, „statycznych” cywilizacji Ameryki Środkowej „dynamicznym” kulturom Europy zasadza się pomysł kompozycyjny całego zbioru *Nasze nie nasze*. Jest to, jak sądzę, podstawowe uzasadnienie tak niezwykle dla Szczepańskiego umieszczenia między okładkami jednego tomu dwóch reportaży z bardzo odległych geograficznie i kulturowo obszarów. W tym wyborze pisarza nie dostrzegam jednak uzurpatorskiego, hierarchizującego gestu podróżników, którzy przed i po nim pisali o tych samych problemach, stosując konwencjonalne zabiegi estetyzacji, gęstości znaczeń i dominacji, które ciekawie w *Imperialnym spojrzeniu* pokazywała Mary Louise Pratt¹⁰. W takiej kompozycji tomiku nie dostrzegam też, tak chętnie powielanego przez podróżujących do „Trzeciego Świata” pisarzy i badaczy, hierarchizującego porównywania, które miałyby dowartościować jedną, lepszą, bardziej rozwiniętą kulturę kosztem pomniejszenia innej, gorszej i zacofanej. W tych dwóch krótkich reportażach Szczepański pokazuje, że – paradoksalnie – to w Naszym może kryć się wyrzucana poza obszar świadomości Obcość, a w pozornie całkowicie niezrozumiałej Obcości odnaleźć można zaskakujące pierwiastki tego, co Nasze.

Nie widzę też wreszcie eksploataowania przez Szczepańskiego na kartach omawianych utworów analizowanej przez Pratt poetyki scen przybycia¹¹, które służyły wprowadzeniu optyki hierarchizującej już w inicjalnych częściach podróżniczych relacji. Polegać one miały na tym, że podróżnik z wyżyn jakiegoś wzniesienia lub zza burty statku ogarniał zawłaszczającym spojrzeniem to, z czym dane mu było się zmierzyć i/lub podbić. Jeśli prześledzić sceny inicjalne w dwóch reportażach z tomu *Nasze nie nasze*, gest ogarnięcia spojrzeniem z góry towarzyszy autorowi przede wszystkim w Grecji, czyli w zetknięciu z własnym dziedzictwem, od którego próbował oddzielić się murem krytycznego dystansu: „Oglądane z góry, Ateny jak wszystkie wielkie miasta błyszczą w ciemności niczym obsypana (...) kropelkami rosy pajęczyna” (NNN, s. 13); „Spojrzenie na Ateny z akropoliskiego wzgórza jest rzeczywiście spojrzeniem z wyżyny innego czasu” (NNN, s. 21). W opowiadaniu *Argonauci*, którego osią fabularną jest również podróż do Grecji, narrator pisze: „Wyspa Patmos wygląda z morza jak biustonosz”¹². Z kolei jedyne spojrzenie na Mexico City ze szczytu wzgórza (NNN, s. 68) uruchamia opowieść wyobrażoną, w której Szczepański próbuje piórem odzyskać to, co mieczem zniszczyli konkwistadorzy. Właśnie te miejsca są okazją do wprowadzania narracji rekonstruującej, lokującej w toku dyskursu historię, która wcześniej została z niego wyparta. W takich miejscach opowieści Szczepańskiego powraca niedoceniana indiańska przeszłość, która wciąż jest uporczywie marginalizowana i funkcjonuje nie na prawie historii, lecz na prawie legendy,

¹⁰ Estetyzowanie krajobrazu miałyby polegać na potraktowaniu pejzażu jak malowidła, w którym ogromną rolę gra binarna retoryka tego, co małe, duże, na przedzie i w tyle, a o wartości podróży decyduje estetyczna przyjemność widoku; gęstość znaczeń zasadza się na wprowadzaniu przez autora ogromnej liczby przydawek przymiotnikowych, które wprowadzają do dyskursu dodatkowe obiekty czy substancje; relacja dominacji między władczym widzącym a widzianym sugeruje, że istnieje tylko to, co obserwator widzi, i że jest on władny jeśli nie pościąć, to przynajmniej ocenić scenariusz. Zob. M.L. Pratt, op. cit., s. 287–292, 303.

¹¹ Ibidem, s. 118.

¹² J.J. Szczepański, *Argonauci* [w:] idem, *Ultima Thule*, Warszawa 1987, s. 110.

będąc jedynie „zaklętą w kamień tęsknotą za historią w kształcie szacownego monolitu” (NNN, s. 77).

Pratt, która zajmuje się głównie relacjami od połowy XVIII do końca XIX wieku, pokazuje, że również w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX stulecia pisarze z Europy tworzą dzieła z imperialistycznego punktu widzenia, barwnością opisu utwierdzając czytelników w przekonaniu, że piszą prawdę. I choć owi „ludzie oglądający” (a później tworzący dyskurs) ubolewają nad przemianami, które zachodzą w tak zwanych krajach Trzeciego Świata, to jednak ich głosom zaczyna towarzyszyć jeszcze jeden, z którym muszą podjąć rywalizację:

„Twórcza moc kreowania głębi przez pisarza musi konkurować z dziesięciodniowym turnusem zorganizowanych wczasów (...). W latach 60. i 70. XX wieku egzotyczne wizje obfitości i raju zostały zawłaszczane przez przemysł turystyczny i zamienione przezeń w towar na sprzedaż. »Prawdziwi« pisarze podjęli się więc zadania dostarczenia czytelnikom »realistycznego« (zdegradowanego i antykomercyjnego) obrazu postkolonialnej rzeczywistości”¹⁵.

Przywołana przez Pratt nowa siła, jaką jest rozkwitający przemysł turystyczny, nie uszła uwadze Szczepańskiego. Jego niechętny stosunek do masowej turystyki dyktowany jest przeświadczeniem (w pewnym stopniu upraszczającym) o braku zdolności przeciętnego turysty – pana Suzuki, pulchnej Emmy czy szczerzącego zęby Johna, który siedzi „rozkraczony zdobywco na opuszczonym przez herosa cokole” (NNN, s. 18, 20) – do podjęcia krytycznego namysłu nad materialnymi śladami przeszłości oraz nad bogactwem sensów, które ze sobą niosą. „Amerykański” model podróżowania jawi się Szczepańskiemu jako najbardziej zwulgaryzowana forma „oswajania” obcości, która ma zresztą charakter pozorny i bezrefleksyjny, przez co *de facto* „nie likwiduje (...) antynomii »naszego« i »nie naszego« świata” (NNN, s. 7). Ta nieprzychylna diagnoza sprawia, że sam pisarz stara się tworzyć relacje prawdziwe, autentyczne i niekomercyjne, w których szlak podróży nie może być znaczonej obiektami godnymi ujrzenia wytyczonymi przez turystyczne foldery ani tchnąc nudą podręcznikowych kart. Takie nastawienie naznaczyło silnym piętnem nie tylko reportaż z Meksyku, lecz także opowieść o Grecji, na spotkanie z którą podróżnik – niejako z przekory – szedł w nastroju „psychicznego rozluźnienia”, nie planując zwiedzania ani jako pielgrzymki, ani jako hołdu.

Wszystkie wyprawy Szczepańskiego były raczej poszukiwaniem tego, co kulturowo i geograficznie odległe, nie nasze, odmienne. Dość wspomnieć, że na swoją wojenną lekturę wybrał pisarz *Bhagawadgitę*, którą woził w jukach siodła po drogach kampanii wrześniowej¹⁴. W *Dzienniku* z kolei wspomina, że przez całe dzieciństwo intrygował go album o Chichén Itzá, które – zobaczone na własne oczy – okazało się bardzo zbliżone do wyobrażeń, nawet w kwestii skali¹⁵. Bardzo znaczące jest też to, że mimo licznych podróży po Europie jedynym utworem, który w całości poświęcił cywilizacji uznawanej za własną, jest właśnie krótki reportaż z Grecji, liczący nie więcej niż czterdzieści stron

¹⁵ M.L. Pratt, op. cit., s. 308.

¹⁴ Zob. J.J. Szczepański, *Maskarada na Oxford Street* [w:] idem, *Przed nieznanym trybunałem*, Warszawa 1982, s. 91.

¹⁵ Idem, *Dziennik, tom piąty: 1981–1989*, Kraków 2017, s. 112.

(w tym fotografii) i zestawiony z tekstem o Meksyku. Podróż do Grecji nie znalazła więc w dorobku autora odrębnego miejsca, które Szczepański przyznał krajom leżącym w Afryce, Ameryce Południowej, Azji, poświęcając im całe książki. Poza krótkimi artykułami pisanymi dla „Tygodnika Powszechnego” Szczepański nie planował raczej książki o Grecji, która ukazała się dopiero osiem lat po powrocie, a jej powstanie spowodowane było wyprawą do Meksyku. Te wszystkie podróżnicze i pisarskie wybory każą przypuszczać, że autora temu *Nasze nie nasze* bardziej fascynowało i pociągało to, co poza Europą, dlatego też tak chętnie wyjeżdżał poza jej granice, szukając (i znajdując) nasze w nie-naszym.

Stosunek Szczepańskiego do Grecji, zwłaszcza zaś do Akropolu, stał się metoni- mią jego stosunku do całego dziedzictwa europejskiego, przede wszystkim do klasycz- nego antyku, który tchnie banalem szkolnego podręcznika i konwencją z turystycznych bedekerów. Zdaniem pisarza to dziedzictwo uporczywie wszczepiane, bezrefleksyjnie uznawane za własne, choć to przecież uzurpacja dokonująca się kosztem odcinania korzeni wschodniego chrześcijaństwa i tradycji „barbarzyńsko-plebejskich i orientalnych” (NNN, s. 32). Nic dziwnego, że nieufny i sceptyczny wobec nader często opiewanego przez literaturę, podręczniki szkolne i bedekery dziedzictwa starożytnej Grecji, przed spotkaniem z kolebką europejskiej cywilizacji, a w szczególności z Akropolem, Szczepański daleki był od radosnej euforii:

„A przecież nie ma na świecie drugiego pomnika przeszłości równie spopolitowanego, równie obrzydzonego szkolną nudą, równie obciążonego drętwotą sentymentalnych »zobowiązań wobec wielkiego dziedzictwa naszej kultury«. Nigdy nie czułem potrzeby ujrzenia Akropolu. Już sam dźwięk tej nazwy kojarzył mi się zawsze z gruboziarnistym rastrem lichych, podręcznikowych fotografii, z zapachem bibliotecznego kurzu, z udręką przymusu. W czasach szkolnych fascynowała mnie roz- pasana architektura Indii, obrośnięte dżunglą piramidy Mayów. Wyobrażenia musi mieć szansę przy- gody, podniecie poszukiwań, przedsięwziętych z własnej ciekawości, na własne ryzyko. Nam Grecję i Rzym podawano jako obowiązkowe składniki kulturalnej diety. Taka dieta przynosi w końcu pozytyw- ki, ale pozbycie się jej mdłego smaku przychodzi z trudem i nie zawsze się udaje” (NNN, s. 13–14).

Pełen obaw przed pierwszym ujrzeniem Akropolu był też Zbigniew Herbert, pisarz należący do tego samego pokolenia, co Szczepański, choć jego podróżnicze *credo* z pewnością brzmiałoby inaczej niż *credo* autora reportażu *Nasze nie nasze*. Świadczą o tym trzy tomy autorstwa Herberta: *Barbarzyńca w ogrodzie* (1962) – plon z podróży do Francji i Włoch, *Martwa natura z wędzidłem* (1993) – eseje powstałe po powrocie z Holandii, oraz wydany już po śmierci autora, ale przez niego przygotowany do druku *Labirynt nad morzem* (2003) – opowieść o starożytnej Grecji, jej zabytkach, kulturze i historii. Dla Herberta zanurzenie w klasycznym dziedzictwie było jednym z filarów twórczości, to właśnie ono wytyczyło autorowi *Pana Cogito* horyzont tego, co nasze. Dlatego w wierszu *Modlitwa Pana Cogito – podróżnika*, będącym pochwałą cudów natury i arcy- dzieł sztuki, które duchowo i kulturowo wzbogacają podróżującego, o Wielkim Kanionie Kolorado, a więc „nie naszym”, pisał, że jest jak „sto tysięcy katedr zwróconych głową

w dół”¹⁶. Poprzez porównanie do katedry piękny, ale tak obco wyglądający kanion zostaje oswojony, „nie nasze” staje się zrozumiałe, poddające się transferowi w krąg pojęć dobrze znanych i mocno zakotwiczonych w świadomości Europejczyka – dziedzica starożytnej Grecji. Szczepański nie szukał takiego oswojenia, bo to właśnie piramidy Majów, kamienne pomniki z grot indyjskiej Elephanty czy indiańskie maski oglądane w muzeum La Plata budziły w nim największą ciekawość, a ich obcość okazywała się zrozumiała i fascynująca jednocześnie.

Na spotkanie z Akropolem Szczepański i Herbert wyruszyli więc z dwóch biegunowo przeciwstawnych pozycji. Pierwszy wspinał się na święte wzgórze pełen wątpliwości, a nawet niechęci, bo nigdy nie umieścił „spopolitowanego pomnika przeszłości” w swoim rozpisany na użytek prywatny repertuarze obiektów świętych. Dla Herberta zaś starożytna Grecja i Akropol jeszcze przed pierwszym ujrzeniem należały do sfery *sacrum*, a obawy przed spotkaniem wynikały nie tyle z przekory i sceptycyzmu, jakie żywi się wobec towaru przereklamowanego, ile z obaw, że nie spełni on wygórowanych oczekiwań. Dlatego esej *Akropol* Herbert zaczyna słowami:

„Nie ma na świecie budowli, która tak trwale okupowała moją wyobraźnię (...). Znałem nieźle topografię, wymiary i kontur głównych świątyń, ale cały ich zespół położony był nieodmiennie na płaszczyźnie, miał barwę gipsu, nie oddychał światłem, a niebo nad nim było z papieru.

Nie potrafiłem wymusić żadnego krzewu i przyczepić go do góry, która – tego się obawiałem najbardziej – okaże się nędznym pagórkem (...).

Kiedy jechałem tam, rósł we mnie strach, że konfrontacja zniszczy to, co przez wiele lat budowały cierpliwe domysły. I czy będę miał odwagę przyznać się (choćby przed samym sobą), jeśli święte wzgórze i ocalałe na nim resztki świątyń nie przemówią do mnie (...)? Czy wezmę udział w trwającym od wieków sprzysiężeniu zachwytu, które polega – wiemy to dobrze – nie tyle na wciąż odnawiającym się wzruszeniu, ile na sile wmówienia, na repetycji wiary”¹⁷.

Mimo tak diametralnie różnych punktów wyjścia obaj pisarze, przepełnieni najszczerzym zachwytem, spotykają się na świętym wzgórzu, które dla jednego i drugiego staje się miejscem epifanii, choć doświadczają jej w odmienny sposób. Szczepański, bardziej zracjonalizowany i pomny swych obaw przed podróżą do korzeni, napisze jednak: „Nie kłamią szkolne podręczniki. Wokół akropolskiego wzgórza skrytykował się niepowtarzalny cud harmonii” (NNN, s. 24). W *Dzienniku* zaś na gorąco zanotuje, że

„Akropol – (...), zwycięski w swojej ruinie, spokojny i pogodny – ma się tak do uczonej nudy podręczników, jak miłość do grafomańskiego wiersza o miłości. Nie mogłem się oderwać od tego miejsca. Jakbym wreszcie dojrzał do dawno wyznaczonego celu”¹⁸.

Ostatecznie więc autor, nie bez zaskoczenia, nawiązuje z Akropolem osobisty kontakt, przekracza stereotyp, doznawszy poczucia doskonałej pełni, proporcji i równowagi. Również spotkanie Herberta z Akropolem przebiega pod znakiem niemego zachwytu, który ma w sobie coś z miłosnego spełnienia, do którego dążył podróżnik, pisząc o pasji

¹⁶ Z. Herbert, *Raport z obłąkanego Miasta i inne wiersze*, Wrocław 1992, s. 20.

¹⁷ Idem, *Labirynt nad morzem*, Warszawa 2000, s. 95.

¹⁸ J.J. Szczepański, *Dziennik, tom czwarty: 1973–1980*, Kraków 2015, s. 141.

„pchającej do zbliżenia fizycznego”, o pragnieniu, aby „położyć ręce, zjednoczyć się cielesnie”¹⁹. To olśnienie tak intensywne, że trudno je wypowiedzieć, bardzo osobiste i zmysłowe, Akropol jest „cudem rzeczywistości”, który „nie wodził zmysłów na pokuszenie, nie obiecywał, że będzie czymś więcej niż jest. Spełniał się cały, był równy samemu sobie”²⁰. Jednocześnie Herbert – podobnie jak Szczepański – ma świadomość tego, że starożytna Grecja, będąca świadectwem barbarzyństwa historii – najazdów, bitew, oblężeń, rabunków i profanacji, dziś jest w znacznej mierze dziełem rekonstrukcji, dlatego nie da się obcować z Akropolem tylko jako obiektem estetycznej kontemplacji. Ta iluzoryczność prowadzi Herberta do rozróżnienia na Akropol dzienny, analitycznie opisany w podręcznikach szkolnych i przewodnikach turystycznych, oraz na Akropol nocny, „zapalony na niebie, oddający się spojrzeniu jako całość”, który w mroku przestawał być zespołem architektury, a stawał się rzeźbą:

„Akropol, jaki miałem przed oczami, sprowadzony do szkieletu, odarty z ciała, był dla mnie zarówno dziełem woli, ładu, jak i chaosu, artystów i historii, Peryklesa i Morosinięgo, Iktinosa i grabieżców. I dotykając wzrokiem jego ran i okaleczeń, doznawałem uczucia, w którym podziw mieszał się z litością.

Jeśli czerpałem osobliwe uczucie szczęścia zagrożonych, to wyłytało ono chyba z uświadomienia sobie tego niezwykłego faktu, że »udało mi się jeszcze zdążyć«, zanim on i ja podzielimy los wszystkich tworów ludzkich na ciemnym przylądku czasu, przed niewiadomą przyszłością”²¹.

Jednak nie tylko zachwyt i poczucie spełnienia doświadczane w kontakcie z cywilizacją antycznej Grecji łączą Szczepańskiego i Herberta. Jeden i drugi wypowiada też potrzebę samotnej kontemplacji i gotowość do podjęcia wysiłku refleksji sięgającej głębiej niż powierzchowne opisy z przewodników turystycznych i podręczników szkolnych. Obaj szukają samotności i spokoju, „bez natrętnych wycieczek”, o czym marzył Herbert upojony pięknem sarkofagu z Hagii Triady, arcydzieła, które stało się dla niego źródłem olśnienia²². Z kolei nieprzychyłość Szczepańskiego wobec kształtu, jaki przybiera współczesna turystyka, oraz brak bałwochwalczego stosunku do spopolitowanych pomników przeszłości, folderów, bedekerów, podręczników, które wyznaczają szlaki turystycznych wycieczek, właśnie w tomie *Nasze nie nasze* rysuje się najjaskrawiej. Znajduje to swoje odbicie również w języku. Niemal cały grecki reportaż napisany jest w trzeciej osobie liczby pojedynczej lub mnogiej: uwagi przewodnika budzą w słuchaczach (a nie w Szczepańskim) uczucie zakłopotania, zwiedzający drepczą w długiej kolejce (a nie „ja/my drepczemy”), wreszcie „wyobraźnia urzędników bankowych, emerytowanych nauczycielek i buchalterów trafiła na żyłą prawdy” i to oni (nie „ja”) są wzruszeni, gdy „ożywa treść folderów, a legenda nagłym skokiem przenosi się w rzeczywistość”. Sam pisarz jest wolny od tych płytkich zachwytów, sytuując się poza kręgiem trywialnych turystycznych uciech, uporczywie poszukuje autentyczności. Ostatni fragment greckiego reportażu zdaje się

¹⁹ Z. Herbert, *Labirynt nad morzem*, op. cit., s. 129.

²⁰ Ibidem.

²¹ Ibidem, s. 131.

²² Ibidem, s. 18.

też owocnym zwieńczeniem tych poszukiwań. Gdy wieczorem bataliony turystów udają się wreszcie do hoteli, można wymknąć się ukradkiem i odrzucając „cennik uznanych wartości”, zbliżyć się do obrazu prawdziwego, do sedna greckiej rzeczywistości. W ciszy pogrążonego w nocnym śnie miasta Rodos udaje się odnaleźć na tyle dużo „prawdy” i „autentyczności”, by obraz ten godny był narracji pierwszoosobowej, akcentującej udział „ja” w przedstawionej na kartach reportażu rzeczywistości: „Przystańmy przed oknem, zawleczonym drgającą, sinawą łuną”, „ruszamy dalej”, „wchodzimy na kamienny mostek”, „trafiamy w ciemną niszę bastionu”. Wreszcie po powrocie na statek „zapytają nas, czy oglądaliśmy widowisko *son et lumière* w Pałacu Wielkich Mistrzów. Podobno całkiem udatnie oddawało nastrój grozy tureckiego oblężenia” (NNN, s. 59).

Nieufność wobec widowisk organizowanych na użytek turystów, niechęć do pasywnego, niepowiązanego z głęboką refleksją konsumowania widoków na kartach reportażu z Grecji i Meksyku daje się zauważyć jeszcze pod inną postacią. Jak sądzę, jej wyraźnym przejawem i konsekwencją jest wspomniany na wstępie brak własnych, autorskich fotografii Szczepańskiego w omawianym tomie. Analizując rolę fotografii w *Czarnym i białym*, Kinga Siewior trafnie zauważa, że w *Do rajy i z powrotem*²³ reporter-turysta pozwala sobie na gest napastliwego fotografowania. Towarzyszy temu jednocześnie akt skruchy wobec władczego i hierarchizującego spojrzenia, jakiego się dopuścił²⁴. Jednocześnie wyciągnięta stąd nauka sprawia, że „w kolejnej swojej podróży Szczepański stara się unikać (...) kradzieży wizerunku i uwrażliwia się na kontekst »poza-fotograficzny«”²⁵. Oznacza to nie tylko niechęć do odgradzania się od świata obiektywem²⁶, lecz także utworzenie własnej strategii fotografowania, które musi być poprzedzone refleksją. I jak podkreśla Siewior, w *Czarnym i białym* – kolejnym chronologicznie reportażu po *Do rajy i z powrotem* – taka decyzja ma już wyraźne konsekwencje w postaci radykalnego odcięcia się od bezzwrotnego, snobistycznego turystu, co powiązane jest z jego surową krytyką.

W jeszcze późniejszym reportażu z Grecji wzmianka o tym, że pisarz wyruszył w podróż z aparatem fotograficznym, pojawia się zaledwie raz (NNN, s. 20); w reportażu z Meksyku nie ma mowy o uwiecznianiu czegokolwiek, choć samo tematyzowanie procesu fotografowania na kartach książek podróżniczych nie było przecież pisarzowi obce. Szczepański opatrzył więc *Nasze nie nasze* fotografiami opisywanych miejsc, jednak on sam nie jest autorem ani jednej z nich, i nie wydaje się to dziełem przypadku. W żadnym innym tekście z podróży nie pojawia się tak wielka mnogość krytycznych uwag wobec fotografowania i filmowania: „ludzie (...) przystawali tylko od niechcenia, żeby strzelić kolejne, obowiązkowe zdjęcie” (NNN, s. 47); „Przybysze z Detroit, Monachium, Birmingham czy Sztokholmu (...) podnieceni nawołują się od tawerny do tawerny,

²³ Czyli w pierwszym reportażu pisarza, nie licząc *Zatoki Białych Niedźwiedzi*.

²⁴ K. Siewior, *Odkrywczy i turyści na afrykańskim szlaku*, Kraków 2012, s. 146–147.

²⁵ *Ibidem*, s. 147.

²⁶ Jak pisała Susan Sontag: „Większość turystów odczuwa przymus odgradzenia się aparatem fotograficznym od czegoś, co jest godne uwagi, a co napotyka na swej drodze. Niepewni, jak się zachować, robią zdjęcia” (eadem, *O fotografii*, tłum. S. Magala, Warszawa 1986, s. 14).

strzelają kamerami na lewo i prawo” (NNN, s. 52); „Trzaskanie kamer i terkot aparatów filmowych brzmią jak odgłosy, wydawane przez świerszcze” (NNN, s. 18), w *Argonautach* zaś „Amerykanie otworzyli huraganowy ogień fleszów”²⁷. Szczepański pokazuje współczesnych turystów jako mrowiący się, bezrefleksyjny tłum, dla którego zamykanie obrazów w kadrze jest nie tyle dowodem istnienia piękna świątyni ateńskiej Nike czy portyku Erechtejonu, ile świadectwem „obecności na miejscu” (NNN, s. 18). W *Argonautach* nie bez ironii autor pisze:

„Ktoś tu kiedyś mieszkał, czyjeś głosy rozbrzmiewały na dziedzińcach i wśród dziwacznych kolumn portyków, coś jedzono, coś pito, korzono się przed kimś lub przed czymś – oh, how very interesting! – wszystko to jednak było nieprawdziwe i nie bardzo poważne, jak ów olbrzym z głową byka. Prawdziwe będą tylko zdjęcia, wykonane na czułej kodakowskiej taśmie”²⁸.

Tym samym pisarz określa współczesnych mu turystów jako łowców obrazów, którzy polując na piękne widoki, unikają zarazem bezpośredniego spotkania ze światem i odgradzają się od niego. Ich podróżowanie nie jest wsparte refleksją, która – co pokazywałam wcześniej – stanowi w ocenie pisarza warunek konieczny, by wybijać okna w murze obcości. Obowiązkowe, niepoddane namysłowi, mechaniczne „strzelanie zdjęć” sprawia, że obcowanie ze światem ma charakter fragmentaryczny, ograniczony do perspektywy obiektywu.

W latach, w których pisarz podróżował do Grecji i Meksyku, w jego tekstach o nachyleniu autobiograficznym coraz wyraźniej odczuwalne jest zmęczenie globalizującym się światem. W roku 1978 (a więc pomiędzy opisanymi w *Nasze nie nasze podróże*) Szczepański zanotował w *Dzienniku*:

„Dostownie czuję, jak ten rozmnożony ponad wszelką miarę, sprymityzowany, agresywny świat podpływa coraz bliżej. I nie ma się co łudzić: ogarnie nas niedługo, zaleje wrzaskiem tranzystorów, zasypie papierami, zatruje. Nawet teraz, kiedy patrzę przez okno na białą, puszystą gęstwinę zamartłą w ciszy, na tle mgły, nie znajduję w tym widoku dawnego spokoju. Smutek ostatniej chwili przeszłości, która odchodzi”²⁹.

Jak sądzę, nie tylko chęć oglądania kultur „prymitywnych”, nieskażonych trującym oddechem cywilizacji, dyktowała Szczepańskiemu takie surowe, nieprzychylnie spojrzenie na przemysł turystyczny jako jeden z wytworów komercjalizującego się świata i kultury. Turystyczne dążenie do odnajdywania autentyczności – zwłaszcza w krajach, które wcześniej padły ofiarą kolonialnego zniewolenia – może być podszyte uprzedmiotowieniem Innego poprzez przykrajanie go na miarę własnych oczekiwań i wyobrażeń. Jednak jak pokazuje Anna Wiczorkiewicz, niekoniecznie takie muszą być motywacje turysty. Badaczka, odwołując się do rozróżnień zaproponowanych przez Erica Cohena, omawia różne tryby doświadczania podróży³⁰. Jest wśród nich tryb rekreacji, w którym podróż jawi się jako „święto niepracowania”, a turysta nie szuka „głębi doznań”. Na przeciwnym

²⁷ J.J. Szczepański, *Argonauta*, s. 110.

²⁸ *Ibidem*, s. 88.

²⁹ *Ibidem*, *Dziennik*, tom czwarty, s. 448.

³⁰ A. Wiczorkiewicz, *op. cit.*, s. 80–83.

biegunie znajduje się tryb egzystencjalny, w którym podróżnik poza obszarem własnej kultury poszukuje nowego centrum. Pomiędzy tymi dwoma trybami Cohen wyróżnia jeszcze inne możliwości podróżowania, wśród których jedna wydaje się szczególnie bliska Szczepańskiemu. Mowa o trybie doświadczania, w którym „zestetyzowane turystyczne doznanie może być silne; nie zmieni ono jednak kierunku biografii, nie wskaże turyście źródła znaczeń, które odnowią jego życie”³¹. O ile jednak w trybie rekreacyjnym kwestia autentyczności oglądanych obiektów i towarzyszącego temu procesowi przeżycia nie odgrywa większej roli, o tyle w trybie doświadczania „prawdziwość” własnych doznań oraz „prawdziwość” oglądanego świata to kwestie zasadnicze.

Jak każda klasyfikacja, również ta ma charakter umowny, a pomiędzy wyraźnie wytyczonymi podziałami rozciąga się mnogość pośrednich eklektycznych form. Zdaje się więc, że Szczepański – zwłaszcza w czasie zorganizowanej wycieczki (sic!) do Grecji – był turystą, który pragnąłby podróżować w trybie doświadczania (lub nawet egzystencjalnym), ale na skutek rozmaitych okoliczności został włączony w ramy turystyki rekreacyjnej, będącej w jego odczuciu najpodlejszą i najniższą formą obcowania z Innym. Budzi to w pisarzu oczywiście sprzeciw oraz wywołuje niechęć do współtowarzyszy podróży. W oferowanym przez „wyspecjalizowane przedsiębiorstwo” skomercjalizowanym świecie mimo wszystko poszukiwał on autentyczności i samotności z dala od natarczywego akompaniamentu turystycznej wrzawy. Jednak – i słusznie może to zabrzmieć jak zarzut postawiony Szczepańskiemu – on sam nie uwzględnił różnych trybów podróżowania i różnorodności niejednorodnych horyzontów oczekiwań, motywacji i potrzeb turystów. Tym samym arbitralnie uznał, że sposoby podróżowania inne od tego, który on sam uznał za wartościowy, nie mają racji bytu i jako gorsze zasługują, jeśli nie na potępienie, to choć na dużą dozę zjadliwej ironii.

Na obronę pisarza trzeba jednak dodać, że opisane na kartach omawianego tomu podróże do dwóch odległych w czasie i przestrzeni miejsc odbywały się pod znakiem poszukiwania tego, co *nasze i nie nasze*, wspólne, uniwersalne i obce jednocześnie, a więc możliwe do zrozumienia w odległym Meksyku i rodzące poczucie niepewności w samej kolebce europejskiej cywilizacji. Nie ma w tym może egzaltowanej chęci doznań głębokich, ale jest czysta potrzeba takiego spotkania z Innym (człowiekiem, miejscem), który/które nie jest obiektem masowej, pasywnej poznawczo turystyki, traktującej przedmiotowo wszystko to, co napotyka na drodze. W cytowanym wcześniej artykule *Smutek etnografa* Szczepański (już nie w porządku literackim, lecz antropologicznym) poruszał zresztą problem swoistej depersonalizacji przedmiotu badań, czyniącego z Innego obiekt o takim samym statusie, jaki ma na przykład roślina dla botanika: „Ale sama postawa badawcza, same metody i cele określające stosunki etnografa z »dzikimi« stwarzają dystans, czyniący z jednostki ludzkiej egzemplarz obserwowanego gatunku”³². Podobny dystans wytwarza bezmyślne „strzelanie obowiązkowych zdjęć”, a oddzieleni od świata

³¹ Ibidem, s. 82.

³² J.J. Szczepański, *Smutek etnografa*, s. 3.

i Innego na długość obiektywu turyści (ci, którzy podróże odbywają w trybie rekreacyjnym) nie potrafią czy nie chcą podejmować intelektualnego trudu zrozumienia. Powierzchności spojrzenia turystycznego przeciwstawia więc pisarz własne spojrzenie interpretujące, któremu towarzyszy próba zrozumienia, nieograniczającego się jedynie do horyzontu wizualności. Podsumowujący podróżnicze doświadczenia Szczepańskiego tom *Nasze nie nasze* jest więc zapisem uporczywego, nieustannego i empatycznego poddawania Innego uważnemu namysłowi – jego życia, historii, podmiotowości, religii, mitów i codziennej egzystencji. Konieczność ciągłego podejmowania takiego wysiłku właśnie w tej książce jest wypowiedziana najgłośniejsze.

Summary

Overcoming the Other in Oneself: Jan Józef Szczepański's *Nasze nie nasze*

The article compares two pieces of literary reportage included in Jan Józef Szczepański's *Nasze nie nasze* (about Greece, 1975, and Mexico, 1981). In Greece, Szczepański discovers a number of places perceived as alien. In turn, from his description of the expedition to Mexico, and of the encounters with several native tribes (such as religion, beliefs, or rituals), we can learn about an unknown face of Mesoamerica. The comparison of the cultures of Greece and Mexico shows that the categories of „familiar” and „unfamiliar” are interchangeable.

Keywords: familiar, unfamiliar, Mexico, Greece, travel reportage, tourism, travel photography, Aztecs, the Maya people, conquest

Słowa kluczowe: swoje, obce, Meksyk, Grecja, reportaż podróżniczy, turystyka, fotografia podróżnicza, Aztekowie, Majowie, konkwista